

## „O tym, jak nie zostałam wiedźminką”

To historia jakich wiele. To historia wojennej sieroty, patrzącej zza krzaka na mord swojej rodziny, sieroty, która później chowała się po lasach przed żołnierzami. Ta historia mogła przydarzyć się każdemu – a przydarzyła się mnie. Miałam szesnaście lat, gdy moje Słomiane zostało napadnięte przez najeźdźców. Napadnięte to duże słowo. Na początku po prostu się u nas zadomowili. Żądali jedzenia, koni, wody. Kobiet. Gdy już wydawało się, że zawsze będziemy musieli pracować dla nich – pojawił się drugi oddział. Doszło do walki. W niej przez przypadek zginęli moi rodzice i brat.

Przypadek to wredny skurwiel.

Ja schowałam się w krzakach i czekałam, że będzie po wszystkim. Tylko czekałam, bo przecież dziewczucha ze wsi nie umiała się bronić, co miałam robić innego. Nie było gdzie uciekać. Wszystko płonęło. Wszyscy ginęli. A ja czekałam, aż zrobi się cicho. A potem ruszałam w drogę przez pogorzelska i krew. Widywałam dym na horyzoncie, a w nocy słyszałam echo czegoś potwornego. Nie wiedziałam, kto kogo zabija. Czy to było w ogóle ważne? Ważne było to, że nie wiedziałam, gdzie mam iść, że czasem tylko patrzyłam jak kolejne oddziały nocują gdzieś przy drodze. Potem, gdy szli dalej, podkradałam się pod zasypane piaskiem ognisko, gdy miałam szczęście, udawało się znaleźć jakąś niedokładnie obgryzioną kość.

Ostatnio chyba zapas szczęścia mi się skończył. I źle trafiłam.

Doskonale wiem, jak to by się skończyło, gdyby nie inny oddział, który to wszystko usłyszał – mnie, wrzeszczącą, przeklinającego żołnierza, łamane gałęzie, gdy uciekałam i w końcu całą kakofonię, gdy ten zabawiał się w najlepsze.

Uratowali mi życie. Potem łąziłam z nimi, szwendałam się, przynosiłam wodę, czyściłam i poiłam konie, na tym przecież się znałam, myłam w strumieniach manierki, śpiewałam wieczorami przy ognisku, byle tylko choć trochę się odwdzińczyć. Czasem tylko krzyczałam przez sen, ale to było wojsko. Oni nawykli do trudnych warunków. Z Temerczykami byłam długie tygodnie. Spodobało mi się życie przy wojskowych. Było tak bezpiecznie. Szło się przyzwyczaić. I stracić czujność. Ja wychodziłam cało z kolejnych potyczek, schowana w krzakach, ze spuszczonym wzrokiem. A oni wszyscy ginęli. I właśnie wtedy, gdy straciłam swój oddział, gdy Temerczycy ponieśli śmierć, po zmroku na polu bitwy pojawiły się one. Trupojady. A trupów było dużo. I ludzi, i zwierząt. Nie wiem, co mnie aż tak długo trzymało na miejscu niedawnej rzezi. Świadomość, że teraz już nie mam naprawdę nikogo? I znów nie wiem, gdzie iść? Ledwo zdążyłam wspiąć się na drzewo, gdy trupojady zaczęły ucztę.

I wtedy po raz pierwszy zobaczyłam wiedźmina. Słyszałam już o takich. Pogromcy potworów, zatrudniani, by pomagać, sprzątać, zabijać. Ten miał zająć się trupojadami, do których ja bałam się podejść. Po nim nie było widać strachu. Kiedy ruszył do walki, stał się najszybszym i najbardziej śmiertelnośnym tancerzem świata. Był skupiony, każdy jego cios był przemyślany. Obserwowałam go całą noc, do świtu. O wschodzie słońca stanął zbrukany posoką potworów, z czerwonym mieczem opartym o ziemię. Odebrał nagrodę i odjechał. Potem wśród kolejnych obozowych opowieści podchwyciłam tę o szkole wiedźminów. Dlaczego by nie? Nikt nie pyta wiedźmina o pochodzenie. Z dnia na dzień opuściłam obozowisko i wyszłam w kolejną nieznaność, tak samo nieznaną jak poprzednia.

### Spuszczony wzrok 1

– No i co, smętne pizdy? Na glebę i pompować!

Wlepiam zaskoczony wzrok w wiedźmina, który maszeruje przed nami. Dosłownie chwilę temu kazano nam się przebrać w długie spodnie i białe, płócienne bluzki, chwilę temu też

przydzielono nas do grup, tyle co kazano nam stanąć w dwuszeregu, tyle co słońce zaszło i wszedł księżyc...

– JAZDA!

Padamy wszyscy na ziemię.

– Dół! Góra! Dół! Góra!

Nie ma czasu na rozmyślania. Robimy posłusznie to, co nam każą.

– Raz! Równo! Równo, kurwa! Czy ja powiedziałem dwa? CZY JA POWIEDZIAŁEM DWA? Trzymać, kurwa, dupy w górze!

Słyszę jakiś męski śmiech.

– Dwa! Raz! Dwa! Dwa! Która pizda ma problem z liczeniem do dwóch?

Drżą mi ręce. Nie wytrzymam. Nie wytrzymam.

– Niżej dupy! Niżej, ty też!

Czuje stopę w ciężkim bucie na swoich plecach, która wgniata mnie w ziemię. Wypuszczam gwałtownie powietrze z płuc, ryję twarzą piasek. Z urwanym, wstrzymywanym szlochem wracam na pozycję.

Po jaką cholere ja tu przylazłam?! Czego się spodziewałam?! Że ktoś powie: ojej, biedna Idunn, straciłaś rodziców? Chodź, niech cię przytulę, ojejku jejku, biedactwo, teraz już wszystko będzie dobrze. Po cholere tu przylazłam?!

– Raz! Dwa! Raz! Dwa! Ja mogę tak do świtu. Macie to robić porządnie. Raz!

Znów nas trzyma przy samej ziemi całą wieczność. Ręce mi dygoczą.

– Dobra, Harlaw, wystarczy – mówi jakiś głos.

Znów ktoś wybucha śmiechem.

– Niech będzie. Bacność! RUCHY!

Grzebiemy się z tego piachu i stajemy przed wiedźminem, na którego plecach można zauważyć dwa miecze. Za nim stoi ich może z pięciu, sami rośli, wielcy mężczyźni. Ten Harlaw, który nas katował, mierzy nas długim, kpiącym spojrzeniem i drapieźnie się uśmiecha.

– Nie wiem, kim jesteście – mówi ten z dwoma mieczami, uśmiechając się nieładnie. – Byliście być może chłopami, szlachtą, artystami, synami zwykłych kurw spod rynsztoka. Byliście nikim. Wiecie, co widzę przed sobą? Kupę przerażonych dzieciaków. Widzę kupę gówna! – wydarł się nagle.

Echo przemknęło przez dziedziniec i pomknęło w las.

– Przybyliście do twierdzy KaerTiele. To od wieków siedliszcie wiedźminów. Takich jak my się nie lubi. Jesteśmy mutacją. Aberracją. Trafiliście tu, bo tak chciało przeznaczenie. Albo zwykły przypadek. To się okaże. W ciągu następnych tygodni okaże się, czy z tej kupy gówna uda się coś wygrzebać. Przy odrobinie naszej pomocy może uda nam się zrobić z was wiedźminów.

Mężczyzna nazwany Harlawem minął tego z dwoma mieczami i stanął tuż obok mnie. Nachylił się nad chłopakiem stojącym na początku rzędu.

– Czy Wielki Mistrz powiedział spocznij? – spytał zjadliwie. – Pytałem o coś. Czy Wielki Mistrz powiedział spocznij?!

– N-nie...

– Nie, co?

– Nie, mistrzu.

– A ty co zrobiłeś? Na glebę. Dwadzieścia pompek.

Odwróciłam wzrok. Między nami przeszedł jakiś szmer, ktoś coś mówił...

– Czy pozwoliłem się odzywać?! Który to taki wygadany? Ty, szczeniaku? Gleba, trzydzieści pompek. Jeszcze ktoś ma coś do powiedzenia?!

Mistrz uniósł rękę.

– Harlaw, wystarczy. Spocznij.

Ugięłam z ulgą nogę.

– Teraz pójdziecie do opiekunów swoich grup. Oni wam wszystko wytłumaczą. Dobrze, adepci. Witamy w KaerTiele. Ja jestem wielki mistrz Svar, resztę mistrzów poznacie na zajęciach. Przyjęliśmy was, bo nie mieliście dokąd pójść. Doceńcie to. Od dziś ta twierdza staje się waszym domem. Macie o nią dbać, a on zadba o was. Rozejść się.

## **Spuszczony wzrok 2**

Byłam beznadziejna.

Mogłabym oszukiwać siebie i innych, że jest inaczej, ale prawda była nie do ukrycia. Byłam beznadziejną adeptką. Począwszy od świtu, obowiązkowego biegu wokół zamku i ćwiczeń z mistrzynią Issą. Zajęcia były straszne. Długie, nieważne, czy był upał i ledwo stałam na nogach, czy akurat zacinął deszcz. Uczylałam się strzelać z łuku i zaraz na początku rozciąłam przedramię cięciwą. Nie potrafiłam rozpałić ognia za pomocą noża i krzesiwa. Ćwiczyłam z Jasperem z naszej grupy, który tłumaczył powoli i cierpliwie, i choć to nasza para była ostatnia, nie krzyczał na mnie. Nie to, co mistrz Harlaw. Zajęcia o potworach z przerażającym mistrzem Meinardem były godzinami w ciemnym lochu, podczas których marzyłam tylko o tym, by stamtąd wyjść na światło. A szermierka...?

Dlaczego ja w ogóle myślałam, że szkoła wiedźminów jest dla mnie?

Wiem, dlaczego.

Wiem, z jakiego powodu jest tu większość.

Wszystkim zawsze się wydawało, że wiedźmin, pogromca potworów, to bohater. I zazwyczaj tak właśnie jest. Te wspaniałe opowieści, snute przy ogniskach, tworzące się legendy, świadomość, że wiedźmini robią coś dobrego, pomagają.

Ale rzeczywistość okazała się inna. Myślałam, że to prościzna. Stanąc przed potworem. Walczyć za pomocą miecza. Zabijać.

Nie potrafiłam tego.

A strach? Nie pomagała nawet obecność Jaspera obok podczas zajęć. I tak byłam beznadziejna.

Najgorsza była szermierka. Nie potrafiłam nawet zapamiętać, w jaki sposób trzymać miecz.

Teraz brodzimy w suchych liściach. A ja chcę tylko się poddać, rzucić żelazo na ziemię i odejść ze spuszczonym wzrokiem.

– Jasper, ja nie ogarniam... – mówię po raz kolejny.

– Idunn, chodź tu – mówi mistrz Dirk, opiekun grupy, od chwili oparty o drzewo. Nie wiem, kiedy przyszedł i jak długo nas obserwował.

– Ja nie potrafię, to nie na moją głowę... – mówię cicho, szykując się na ochran.

– Spójrz – przerywa mi, wyciągając swój miecz. – Prawa ręka, krok, półobrót, trochę wyżej ręka, Widzisz?

Zachwycona kiwam głową, obserwując jeden, płynny ruch.

– Rób to samo, co ja.

Staję przed nim, ze zdeterminowaniem unoszę głowę, dmucham w kosmyk włosów, który ciągle wpada mi w oczy.

– Powoli. Prawa, krok, półobrót.

– Udało mi się! Zróbmy to jeszcze raz, dobrze?

GORZEJ BYŁO, gdy mistrz Aron, mistrz miecza, uczył nas długich sekwencji. Potrafiłam tylko wciskać ostrze miecza w ziemię, dziabnąć nim liście i spuszczać głowę.

– Tamta sobie nie radzi – zwracała uwagę mistrzyni Issa.

– Poćwicz z nią.

Nie, chciałam zawołać do mistrza Arona. Nie z nią.

Zostawałyśmy same, bo wszyscy już szli do zamku. Wracałam spocona, umorusana ziemią, zła niemalże do łez. Mistrzyni się nie odzywała.

Z podziwem oglądałam pojedynki mistrza Vesemira z uczniami na dziedzińcu, a potem szłam na swój siennik i czekałam na nadejście nocy.

Jedynie Znaki w miarę mi wychodziły – to znaczy nie odstawałam od reszty. Znaki dawały mi satysfakcję. A że po nich zawsze tak dziwnie palił mnie brzuch – myślałam, że to normalne.

Miałam pewne podejrzenia. Czułam, że coś jest nie tak. Że coś jest inaczej. Ze mną. Początkowo sądziłam, że to zmiana trybu życia i zwiększony wysiłek fizyczny, czasem przekraczający moje możliwości. Nie miałam apetytu, płakałam w swój siennik i zawsze rzygałam po porannych ćwiczeniach. W końcu jednak dotarło do mnie, że dłużej tego nie mogę ukrywać. Nie tu.

I wtedy po raz pierwszy byłam rzeczywiście przerażona. Ale postanowiłam, że jak długo się da, tak długo będę siedzieć cicho. To szkoła wiedźminów, nie nianiek. Przy całym szacunku, jaki miałam dla moich bądź co bądź wybawicieli, bałam się o siebie. I o dziecko.

Nagle nasze szkolenie zostaje dramatycznie przyspieszone. Wielki mistrz mówi, że to dlatego, że bestii jest coraz więcej, a nas coraz mniej. Czuję skurcz. Przed chwilą zjedzony obiad zalega mi ciężko w żołądku. Co? Już?

– Próba wiąże się z wielkim, śmiertelnym ryzykiem – mówi, stąpając ciężko między stołami. – To zmieni was na zawsze.

Wybuchłaby wrzawa, bo większość nie kryje ekscytacji, ale mistrzowi się nie przerywa. Pamiętam kilku śmiałków, którzy kiedyś po głupim żarcie wplecionym w przemowę mistrza spędzili całą przerwę na kolację na podłodze, trzaskając pompki.

– Nie można być wiedźminem, nie przechodząc Próby.

Ja nie chcę. Nie teraz. Nie w takim stanie.

– Z pewnością nie wszyscy to przeżyją.

– Nie strasz ich – mówi mistrz Dirk. Rzucam mu krótkie spojrzenie, a on łapie mój wzrok.

– Nie przerywaj. Niech wiedzą, co ich czeka.

O Próbie krążyły legendy. Słyszałam wielokrotnie, jak adepci rozmawiają między sobą o tym, jaka to będzie przygoda, jakie przeżycie, nie dopuszczając do siebie myśli, że ktoś jej nie da rady.

– A co z tymi, którzy do niej nie podejną? – pytam cicho w stronę swojego talerza, tak cicho, że chyba nikt nie słyszy.

– Słyszałem – mówi półgłosem Jasper. – Jak mówili, że kiedyś ktoś chciał się wymigać. Wielki mistrz się wkurzył, że darmożjad, że przeznaczenie i wypędził chłopaka z zamku. Ten tułał się kilka dni, potem znaleziono jego ciało rozszarpane przez ghule, te z podzamcza.

– Ja słyszałam, że to sam wielki mistrz go zasztyletował – dodaje Iset.

– Dostał kosą pod zębra na dziedzińcu, koło studni – dodaje ktoś jeszcze.

– Cisza! – ryczy wielki mistrz. – Żeby nie było tak prosto, byście poznali, czym jest życie wiedźmina, najpierw czeka was egzamin. Dopiero później ci wskazani przez przeznaczenie przystąpią do Próby. A ci, którym przeznaczenie nie będzie przychylnie...

– Zdechną jak psy. No powiedz, Svar – tak to może się skończyć – mistrz Dirk wstaje, odkłada butelkę, opiera się biodrami o stół. – Taka jest pierdolona, wiedźmińska dola.

Mistrz Harlaw spluwa na klepisko i śmieje się.

– Co, żarty się skończyły, nie? Jaka nagle cisza zapadła!

– Boicie się? – pyta wielki mistrz, tocząc po adeptach długim spojrzeniem. – Bo powinniście. Zaczniemy, gdy zapadnie zmrok. Cieszcie się być może ostatnimi godzinami waszej nędznej egzystencji. Jazda stąd.

Wychodzimy, ale ja z lekkim wahaniem i nieśmiałością, a nawet z czymś na kształt wstydu podchodzę do osobnego stołu, przy którym siedzi tylko jedna osoba, piękna kobieta, która od kilku tygodni kręciła się po zamku w sobie tylko wiadomych sprawach.

– Przepraszam, czarodziejko...

– Siadaj. Coś się stało?

Wzruszam ramionami, spuszczam wzrok.

– Czarodziejko, wielki mistrz mówi, że nielicznym udaje się przeżyć Próbę... Czy... Czy ja... Nie mówiłam nikomu jeszcze, nawet swojemu mistrzowi, ale co w sytuacji, kiedy...

– Tak? – lekko ponagla.

– Spodziewam się dziecka – mówię rozpaczliwym szeptem, wlepiając w nią spojrzenie.

Kobieta chwilę milczy, wolno obciera usta koronkową chusteczką, na których została odrobina tłuszczu z sarniny.

– Nie chcę cię straszyć, chcę, byś wiedziała. Niewielkie.

Coś ciężko zalega mi w dole brzucha. Gryzę usta.

– Egzaminy zakładają pełną sprawność fizyczną. O Znakach nie wspomnę.

– A sama Próba?

Czarodziejka znów milczy chwilę.

– Nie sądzę, by to skończyło się dobrze. Ilość eliksirów mutagennych, jakimi cię nafaszerują prawdopodobnie będzie zabójcza dla płodu. No i... Po Próbie już nigdy nie będziesz mogła mieć dzieci. Więc jeśli to dziecko twego ukochanego lub jeśli planowałaś mieć dzieci w przyszłości – mocno się zastanów. Spójrz, ile jest wiedźminek, a ilu wiedźminów. Czysta statystyka.

Teraz ja chwilę się nie odzywam.

– To co mam zrobić? – wymyka mi się w końcu. Zaciskam dłonie na kolanach.

– To musi być twoja decyzja. Mogę przygotować odpowiedni eliksir, ale nie sądzę, byś po wszystkim zdążyła wydobrzeć. Możesz też spytać o pozwolenie uniknięcia Próby i podejście do niej – lub nie – gdy już urodzisz. To twoja decyzja.

Moja decyzja, tak? Czy wiedząc, że dezercja jest surowo karana mogę podjąć decyzję w wolności?, zastanawiam się, leżąc na nagranych słońcem deskach pod szubienicą, a nade mną wschodzi tłusty, wielki księżyc i powoli zapada noc. Nie muszę czekać długo. Wiem, co muszę zrobić.

Potem to wszystko toczy się bardzo szybko. Pełna przerażenia rozmowa z Wielkim Mistrzem, jego ciężkie milczenie, wreszcie werdykt jak wyrok znaczący moje całe dalsze życie – „w porządku, zamek zyskał nową gosposię, jutro Bertram pokaże ci, gdzie są miotły” i ostre ucięcie rozmowy na pytanie, co dalej. „Zobaczmy. Czy urodzisz i zostaniesz, czy odejdziesz. Wiesz, bycie człowiekiem to zaciąganie długów i może przeznaczenie ma inne plany wobec ciebie – a inne wobec twego dziecka. Zobaczmy. Nie mogę żądać od ciebie tego dziecka – ale kto wie. Może jeśli to będzie syn, i tak dasz twierdzy wiedźmina.” Leżę więc pod szubienicą i patrzę w gwiazdy. No i co, przeznaczenie? Co masz mi do powiedzenia? Co się wydarzy?

Kim będę? Wiedźminką? Czy tylko wychowanicą KaerTiele? Kim będzie to dziecko? Prawdziwe dziecko-niespodzianka, kim się stanie, mną?, czy nimi? Dziś nie wiem. Dziś nie odpowiem na te pytania, przeznaczenie, więc nie pytaj o więcej. Dziś tylko leżę pod szubienicą i patrzę w gwiazdy, trzymając ręce na brzuchu, który nie jest już tylko mój, i nie wiem czemu, ale oddycham spokojniej i chyba nawet się uśmiecham.

### **Spuszczony wzrok 3**

Kolejne miesiące, gdy Jasper i reszta grupy ruszyli na szlak, gdy w końcu na szlak wyruszył także mistrz Dirk, opiekun i mentor, a także czasem ojciec, a czasem starszy brat, czułam się na wpół gosposią, bezpieczną w opustoszałym miejscu pracy, wpół adeptką przygotowującą się do „prawdziwego życia”. To prawdziwe życie czasem wpadało do zamku, łapało nas za gardła i przyciskając do ziemi przypominało, że jest, istnieje i ma się dobrze, a ja nie ucieknę od niego, chowając się w kuchni. Wtedy zdarzały się bezsenne noce, podczas których pomagałam mistrzom łątać rannych i ledwo żywych wiedźminów. Zmieniałam wodę, przynosiłam eliksiry, zioła, opatrunki, wycierałam stoły i podłogę z krwi. Wtedy wstawały zimne, senne ranki, kiedy przysypiałam w lochu, ucząc się i czuwając. Byłam jak druga ręka. Co z tego, że lewa. Ale czasem było spokojnie. Zdarzało się upolować jelenia czy dzika w lesie i wtedy ucztowaliśmy kilka dni. Bard Soren uczył mnie wiedźmińskich śpiewów i okazało się, że mam nawet dobry głos, choć ćwiczony był tylko podczas żniw naszymi chłopskimi śpiewami. Czasem ktoś odwiedzał zamek, jakieś zagubione dziecko czy przerażona ofiara złych wypadków. W wielu takich twarzach odnajdywałam siebie i zawsze udawało mi się znaleźć kubek gorącego mleka z miodem na dobry, spokojny sen. A dziecko rosło. Okazało się, że nie wszyscy wiedźmini są tak gruboskórni i nieczuli jak mistrz Harlaw. Po przełamaniu początkowego dystansu gdzieś zaczęła kwitnąć jakaś więź, mocniej spajająca mnie z tym miejscem. Ostatnio słyszałam plotki, że podobno mistrz Dirk jest w okolicy i na zimę przyjdzie do zamku. Wtedy już stan liczebny Siedliszcza powinien się zwiększyć.

A ja – poczekam na mistrza Dirka, na Jaspera, na resztę grupy, innych wiedźminów – co wieczór prosząc Melitelę, by szlak był dla nich łaskawy. Ja i dziecko-niespodzianka. Nie zostałam bohaterką, mężnym młodym rycerzem, ratującym całe wsie, nie zrobiłam nic, czym mogłabym zasłużyć na podziw, nie zostałam wiedźminką. Ale znalazłam dom i to w tym momencie jest najważniejsze. I póki co – nigdzie się stąd nie ruszam.

Karolina Król, 21 lat